

GRAHAM MASTERTON

Co się stanie,
gdy wszystkie nasze
lęki połączą się
w jedno?

STRACH

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE TERROR

Copyright © Graham Masterton 1997
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Marcin Krygier 1998

Korekta: Sabina Raczyńska, Urszula Okrzeja

Projekt graficzny: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce oraz 1. i 3. stronie: Shutterstock; Freepik

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



ALBATROS

ROZDZIAŁ 1

Jim był już prawie przy drzwiach do swojej klasy, kiedy usłyszał piskliwy, spanikowany krzyk – po nim następny i jeszcze jeden. Natychmiast odrzucił książki i resztę drogi pokonał biegiem. Niemal zderzył się z okrytą bawełnianym T-shirtem masywną piersią Roda Wiszowaty'ego, który opuszczał klasę równie szybko, jak Jim ku niej zdążał.

– Co, u licha, się stało? – zapytał.

Rod uniósł obie ręce w geście kpiarskiej kapitulacji.

– Przepraszam, proszę pana. Naprawdę przepraszam. Nie myślałem, że aż tak ją to wystraszy.

– Zostań tutaj – polecił Jim i przecisnął się obok niego do środka.

W klasie było już siedmioro uczniów. Jedna z uczennic, Sandra Pearman, siedziała przy stoliku, szlochając i dygocząc, podczas gdy dwie inne próbowały ją uspokoić. Jim podszedł do nich.

– Co tu się stało? Sandra, nic ci nie jest? – zapytał.

– Ten durny dupek rzucił jej pająka na zeszyt – odpowiedziała Jane Pirella. – Na widok pajaków kompletnie Sandrze odbija. No, wie pan, boi się ich jak zarazy.

Sandra trzęsła się, łapiąc otwartymi ustami powietrze. Jim pochylił się nad nią i położył dłoń na jej ramieniu. Była ładną dziewczyną, drobną, o długich blond włosach i wielkich niebieskich oczach, lecz na policzkach miała smugi łez, a jej dolna warga drżała.

– Dalej, Sandra. Spróbuj się uspokoić. Rod zrobił coś bardzo głupiego, ale już jest po wszystkim.

– Kutas z ciebie, Wiszowaty! – zawołała Jane.

– Dosyć tego – uciął Jim. – Słuchaj, Jane, może zabierzesz Sandrę do gabinetu lekarskiego, niech się położy na chwilę i złapie oddech. Nie chcę, żeby dostała ataku astmy.

– To był tylko żart – rzucił Rod. – Gdybym wiedział, że zesra się w gacie ze strachu...

– Ona cierpi na arachnofobię – odparł Jim, pomagając Sandrze wstać. – Wielu ludzi nie lubi pajaków, ale ją tak przerażają, że może wpaść w histerię.

– Przecież był taki mikroskopijny. I do tego martwy.

– Dla niej to żadna różnica. Kiedy masz fobię, boisz się czegoś, choć wiesz, że tak naprawdę to nie może wyrządzić ci najmniejszej krzywdy. Większość ludzi skrywa jakieś irracjonalne obawy.

– Właśnie, Wiszowaty, a czego ty się boisz? – zaatakowała go Jane. – Założę się, że ciemności. Musisz zostawiać zapalone światło przed domem, co?

– Hej, daj mi spokój. Ja niczego się nie boję.

– Niemożliwe – rozległ się z tyłu klasy cichy głos z wyraźnym meksykańskim akcentem.

To odezwał się Rafael Diaz. Siedział na krześle opartym o ścianę, ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Rafael był nowym uczniem. Dołączył do drugiej klasy specjalnej trzy tygodnie po rozpoczęciu roku szkolnego. Był wysoki, szczupły, jego skóra miała oliwkowe zabarwienie, a niezwykle długie, kręcone czarne włosy opadały mu na ramiona. To, że się odezwał, zaskoczyło Jima, ponieważ podczas zajęć rzadko kiedy coś mówił, chyba że Jim zadał mu bezpośrednie pytanie, na które zwykle otrzymywał jednosylabową odpowiedź.

– O czym ty chrzaniś, Diaz? – naskoczył na niego Rod.

Stanowiący zdecydowane przeciwieństwo smukłej, egzotycznej postaci Rafaela, Rod był wielki, piegowaty i lubił pomiatać słabszymi.

– Każdy czegoś się boi – odpowiedział Rafael. – Nawet jeśli nie wie, co to jest.

– Aha, a ty jesteś pewnie jakimś psychiatrą?

– Oczywiście, że nie – odparł Rafael. – Ale wiem, co oznacza lęk.

– Więc niby co mówisz? Że mam jakąś fobię, o której w ogóle nie wiem?

– Tak. Być może boisz się ognia, utonięcia, zamkniętych pomieszczeń, klamek u drzwi, kapeluszy, zielonego koloru albo czegokolwiek innego.

– Jaja sobie ze mnie robisz? – zapytał Rod, po czym zwrócił się do pozostałych uczniów: – Ten facet jaja sobie ze mnie robi.

– Ależ nie – zaprotestował Rafael. – Nie robię sobie z ciebie jaj. Niby po co? Pewnego dnia staniesz twarzą w twarz ze swoim lękiem i będziesz wrzeszczeć i płakać, tak jak teraz Sandra z twojego powodu, a wtedy przypomnisz sobie moje słowa i zrozumiesz, że mówiłem prawdę.

– Jesteś walnięty – rzucił Rod i zgarbił się na krześle, wyciągając nogi na boki.

Kolejni uczniowie wchodzili do klasy. Stanley Ciotta przyniósł do sali książki Jima i położył je na biurku. Stanley nosił grube okulary i ustawicznie mrugał.

– Niektóre kartki się pomieszały i nie wiedziałem, w jakiej kolejności je ułożyć.

– W porządku, Stanley – powiedział Jim. Potem odwrócił się do Roda. – Nieważne, czy uważasz Rafaela za szalonego, czy nie, napiszesz do Sandry składający się ze stu słów list z przeprosinaми. Zaznaczysz, że rozumiesz jej fobię i że głęboko żałujesz, że tak bardzo ją zraniłeś.

– Ile słów? Sto? Nie mógłbym kupić jej bombonierki lub coś w tym stylu?

– Jeżeli napiszesz do niej list, będzie wiedziała, że twój żal jest szczery.

Rod pisał tak wolno, że nieraz udawało mu się skończyć pierwsze zdanie, podczas gdy pozostali mieli już zapisane trzy strony.

– Jezusie. Sto słów. Będę miał co robić do Święta Dziękczynienia.

Jim przysiadł na krawędzi biurka.

– A jeśli chodzi o pozostałych, to możemy chyba wykorzystać dzisiejsze zdarzenie i napisać krótki wiersz o tym, co najbardziej was przeraża. Możecie naśladować styl dowolnego poety ze *Współczesnej poezji amerykańskiej*. Będą dodatkowe punkty, jeżeli uda mi się rozpoznać poetę.

– Hej, a co ja mam zrobić? – zapytał Virgil Wacker. – Mnie przeraża poezja.

Virgil – o rudych lokach i w kurtce baseballowej z zielonej satyny – był w tym roku klasowym błaznem. Jim obdarzył go pobłażliwym uśmiechem i powiedział:

– Zadaj sobie pytanie, czego boisz się bardziej... poezji czy dwugodzinnego opróżniania koszy na śmieci po lekcjach.

– Aha, już kumam – odparł Virgil i chwycił za długopis.

Jim powoli przeszedł na tył klasy, gdzie siedział Rafael. Chłopak układał długopisy i ołówki w ukośny wzór.

– Skąd tyle wiesz o fobiach? – zapytał go Jim.

– Nauczyłem się tego od dziadka.

– Był może lekarzem?

Rafael pokręcił głową.

– Był zwykłym człowiekiem, to wystarczy. Ale nauczył mnie wszystkiego o strachu... I nauczył mnie, jak go przezwyciężyć.

– Naprawdę? Na czym polegał jego sekret?

Rafael wzruszył ramionami, lecz nie odpowiedział, jak gdyby sam ten gest wystarczał za odpowiedź.

– Cóż... to bardzo interesujące, Rafael – dodał Jim.

– Może powinienes nauczyć Sandrę, jak ma przestać bać się pajaków.

Chłopak podniósł na niego wzrok.

– No, nie wiem, proszę pana. Jeżeli nie czuje się żadnego strachu, czasami to bywa niebezpieczne.

Rod odwrócił się.

– Zgadza się. Bycie mądrałą też bywa niebezpieczne, wiesz?

– Rod! – zawołał Jim. – Ile słów już napisałeś?

– Dwa, proszę pana. *Czwartek i kochana*.

– Świetny początek. Nie trać rozpędu.

* * *

Podczas przedpołudniowej przerwy Jim pojechał do Benedict Canyon w sprawie kupna samochodu. Wciąż jeszcze szalał za swoim rebelem SST rocznik 1969, pomalowanym na oryginalny, jadowicie pomarańczowy kolor, lecz ten przez ostatni miesiąc psuł się już czterokrotnie – raz na środku autostrady San Diego podczas wieczornego natężenia ruchu. Rusty Untermeyer, właściciel warsztatu samochodowego w West Grove, przez pięć minut bez słowa zaglądał pod maskę, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– To już koniec, Jim – orzekł w końcu. – Możesz jedynie urządzić mu elegancki pogrzeb. Z twoją pensją niczego więcej nie zrobisz.

Taki był więc cel jego wyprawy, w odpowiedzi na ogłoszenie o sprzedaży lincolna rocznik 1972. Zwykle niechętnie siadał za kierownicą tak niedawno wyprodukowanych samochodów. Wolał wozy przypominające mu o dniach jego dzieciństwa, kiedy słońce świeciło przez cały czas, jeszcze przed zapaleniem płuc, które o mały włos nie zabiło go w wieku jedenastu lat.

Ta choroba na zawsze odmieniła jego życie. Przez pięć i pół minuty był martwy. Lekarzom udało się go reanimować, zanim wystąpiły nieodwracalne zmiany w mózgu, lecz od tamtej pory zyskał zdolność postrzegania rzeczy zasłoniętych przed oczami innych ludzi. Cieni, duchów i wszelkich innych istot. Większość z nich była

łagodnego usposobienia – zaledwie blade duchowe echa niegdyś tętniących życiem osobowości. Inne jednak były znacznie bardziej złożone i złowieszcze. Niezadowolone dusze o nieopisanym apetycie. Czuł się tak, jakby pływał w krystalicznym oceanie rojącym się od rekinów, lecz był chyba jedynym, który zdawał sobie sprawę z ich obecności.

Dojechał do skrzynki pocztowej opatrzonej nazwiskiem KRUPA i skręcił w ostro pnącą się alejkę dojazdową, skrytą w naturalnym tunelu pachnących sosen. Dom na końcu alejki był rozległy i zbudowany bez jednolitego planu – zbiorowisko werand, pawilonów i nieudolnie wzniesionych przybudówek. Pomalowany jasnoszarą farbą, lśnił w blasku porannego słońca.

Jim wysiadł z samochodu i podszedł do schodów wiodących ku frontowym drzwiom. W tej samej chwili rozwarły się i z budynku wyszedł niski łysy mężczyzna w szkarłatnoczerwonej hawajskiej koszuli, żujący wilgotne cygaro.

– Pan Krupa? Jestem Jim Rook. Przyjechałem w sprawie pana lincolna.

– Jasne, jasne. – Krupa zaczął gmerać w kieszeniach szortów, szukając kluczyków. – Kiedyś należał do mojej żony. Co za suka. Nienawidziła go, rozumie pan. Z samochodem nie było żadnych problemów, nic z tych rzeczy. To dlatego, że ja jej go kupiłem. Niech mi pan nie mówi,

że miłość można kupić za pieniądze.

Jim poszedł za gospodarzem do podwójnego garażu z boku domu. Krupa podciągnął harmonijkowe drzwi i wewnątrz, pod wielką zakurzoną płachtą, zamajaczył charakterystyczny kształt lincolna continental MkIV, o wydłużonej masce i fałszywym zapasowym kole na bagażniku.

– W idealnym stanie, niczym wprost z salonu – powiedział Krupa. – Tam też powinienem był go zostawić, a nie robić z niego prezent. A wie pan, co ta suka zrobiła? Uciekła z facetem, który czyścił nasz basen. Powiedziała, że ma żołądek jak pies.

– Chyba jak struś – poprawił go Jim.

– Struś, pies, nieważne. Jedno jest pewne: nasze małżeństwo psu na budę by się nie zdało.

Krupa złapał za róg płachty i ściągnął ją na bok. Jim stał przez dłuższą chwilę, wpatrując się w lincolna, zanim odzyskał mowę.

– Jest różowy – powiedział w końcu.

Właściciel lincolna prychnął z dumą.

– Dokładnie mówiąc, ten odcień to różany metalik. Specjalnie kazałem go tak pomalować.

Jim powoli obszedł samochód dookoła. Krupa miał rację: wóz wydawał się w doskonałym stanie. Obicia z białej skóry i białe włochate dywaniki były nieskazitelnie czyste, na liczniku było niecałe sześć tysięcy kilometrów.

Lecz jak mógłby codziennie rano jeździć do szkoły samochodem takiego koloru? Czułby się w nim jak Elvis.

– Może być pański za trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów – oświadczył Krupa. – To prawdziwa okazja, biorąc pod uwagę jego stan.

– No, nie da się ukryć, że jest dziewiczo nowy – przyznał Jim. Tylko to słowo przychodziło mu do głowy, oczywiście oprócz określeń w rodzaju „gejowski”, „gówniarski” czy też po prostu „niedorzeczny”.

– Niech się pan przejedzie – zasugerował Krupa. – Ciągnie jak lokomotywa. Osiem cylindrów, czterysta sześćdziesiąt cali sześciennych. Kopa nigdy panu nie zabraknie.

Wargi Jima ułożyły się już w „nie”, kiedy usłyszał miaukliwy dźwięk. Pod ścianą garażu pojawił się brązowo-żółto-czarny kot. Podbiegł wprost do niego i zaczął ocierać się o jego nogi, mruczając tak głośno, że przypominało to dziecięcą grzechotkę.

– Cholerny kot – prychnął Krupa. – Pałęta się tu od ładnych kilku dni.

Jim pochylił się i podrapał zwierzę pod brodą.

– Czyli nie należy do pana?

– Nie, ani do sąsiada. Nie wiem, skąd się wziął, kto i czym go karmi. Tyle że nie jest zdziczały. Na to jest, cholera, zbyt potulny.

Jim podniósł kota i spojrzał mu w oczy. Kiedy to zrobił,

po plecach przebiegł mu szczególnie lodowaty dreszcz. To na pewno nie był kot Krupy i na pewno nie należał do jego sąsiada. To była jego kotka, kotka niegdyś nosząca imię Tibbles. Miała jedno oko zielone, a drugie poplamione brązem. Nad nosem widniała ta sama smuga białej sierści. Kotka miała ten sam ubytek w kształcie litery V na krawędzi lewego ucha.

Jim nie mógł w to uwierzyć. Nie dlatego, że kotka niegdyś nosząca imię Tibbles pojawiła się tutaj, w domu na Benedict Canyon, dokładnie wtedy, gdy on zaczął rozglądać się za samochodem – lecz dlatego, że kotka niegdyś nosząca imię Tibbles została zabita ponad rok temu przez ducha rdzennego mieszkańca Ameryki, który zdemolował mu mieszkanie.

Na własne oczy widział truchło Tibbles – wiszące na drzwiach do łazienki, z haczykiem na ręcznik wbitym w głowę i wychodzącym przez rozwarty pysk, o oczach pustych i zamglonych, z sierścią ciężką od krwi.

Delikatnie postawił kota z powrotem na ziemi, lecz zwierzę trzymało się w pobliżu, przebiegając mu między nogami, gdy Jim stawiał kroki.

– Wygląda na to, że mu się pan spodobał – stwierdził Krupa.

– Ano tak. – Głos drżał Jimowi pod wpływem szoku. Nie próbował nawet wyobrazić sobie, jakim sposobem kotka niegdyś nosząca imię Tibbles powróciła do

życia, lecz nie ulegało wątpliwości, że nie jest to jedynie podobne zwierzę. To była Tibbles, żywa i oddychająca, materialna na tyle, że co chwila niemal wpadała mu pod nogi.

– No i co? – zapytał Krupa.

– Nie wiem. To naprawdę niesamowite.

– Niesamowite? Co w tym niesamowitego? Przebieg jest prawdziwy, gwarantowany.

– Racja, samochód. Tak, tak.

Jim nawet nie starał się zrozumieć, jak kotka niegdyś nosząca imię Tibbles powróciła do życia, lecz wierzył w przeznaczenie i wiedział, że są inne płaszczyzny istnienia i inne poziomy świadomości, więc pragnął się dowiedzieć, co działo się wokół niego. Zupełnie jakby to zwierzątko czekało tu na jego przyjazd.

– Od kiedy ten kot tu przychodzi? – zapytał.

– Nie wiem. Chyba od czwartku.

– A kiedy dał pan pierwsze ogłoszenie o samochodzie?

– Tego samego dnia. W czwartek.

Ta informacja Jimowi wystarczyła. Może to jedynie zbieg okoliczności, ale ogarnęło go niezwykle silne przekonanie, że otworzyły się jakieś drzwi i że nie ma innego wyjścia, jak tylko przez nie przejść.

– W takim razie zgoda – powiedział. – Wezmę go. Jeszcze dzisiaj podrzucę panu czek bankowy.

– Jest pan pewien? – Krupa wykonał taki gest, jakby obracał kierownicą. – Nie chce się pan nawet przejechać?

– Nie trzeba. Jestem pewien, że mogę panu zaufać.

Krupa podał mu mocną, spoconą dłoń.

– Nie pożałujesz, Jim. Ludzie będą się za tobą oglądali, dają ci słowo.

Jim posłał mu uprzejmy uśmiech i wrócił do swojego SST. Kotka niegdyś nosząca imię Tibbles nie ruszyła się z miejsca przy lincolnie, lecz lata doświadczenia podpowiedziały Jimowi, że kiedy tu wróci, zastanie ją.

* * *

Po powrocie do szkoły w jego głowie aż wrzało od pytań. Poleciał drugiej klasie specjalnej, by kontynuowała lekturę *Gron gniewu*, a sam usiadł za biurkiem i udawał, że poprawia prace domowe.

Widok przywróconej do życia Tibbles poruszył go tak bardzo, że prawie nie był w stanie mówić. A implikacje tego faktu były wstrząsające. Duch, który zabił jego kotkę, zamordował też w szczególnie brutalny sposób Martina Amato, kapitana szkolnej drużyny futbolowej, Johna Trzy Imiona, dziennikarza z plemienia Nawaho, oraz, co napawało Jima szczególnym bólem, Susan Randall, nauczycielkę geografii z West Grove, kobietę, którą Jim lubił i kochał najbardziej ze wszystkich poznanych.

Po ich śmierci inny duch, znany pod imieniem Psi Brat,

dał Jimowi do zrozumienia, że wszyscy ci zaszlachtowani ludzie być może odnajdą jakąś drogę z powrotem do świata rzeczywistego, lecz Jim nigdy nie wyobrażał sobie, by to mogło się zdarzyć. A jednak, skoro jego kotka zmartwychwstała, czy było możliwe, że również i Martin powróci do życia? I John Trzy Imiona? I Susan?

Jeżeli tak... to w jaki sposób mieliby się pojawić... i kiedy?

– Proszę mi wybaczyć wścibstwo, proszę pana, ale czy dobrze się pan czuje? – zapytała Fynie McFeagh. Była wysoką, ciemnowłosą dziewczyną o zielonych, irlandzkich oczach i najłagodniejszym usposobieniu pod słońcem. Wysławiała się tak potoczyście, że nikt nie byłby w stanie odgadnąć, że ma ciężką dysleksję.

– Nic mi nie jest, Fynie. Boli mnie tylko głowa.

– Mam przy sobie anacin, gdyby pan chciał.

– Nie, nie. To nie taki ból głowy.

– A jaki?

– Nie wiem. – Rozejrzał się po klasie. – Chyba taki, jakiego dostaje się przed ciężką burzą.

Uczniowie czytali dalej; większość z nich poruszała ustami, a niemal co trzeci korzystał z linijki, by śledzić bieg tekstu na stronie. Patrząc na nich, Jim poczuł nagłe wzruszenie wywołane ich uporem. Jeżeli po ukończeniu szkoły będą w stanie przeczytać gazetę, kilka prostych przepisów i instrukcję obsługi komputera, uzna to za

duże osiągnięcie. Lecz tegoroczny nabór cechował się szczególnie wysokimi aspiracjami. Neville Briscoe był potężnym czarnoskórym chłopakiem o ogolonej głowie i z kolczykami w uszach. Wyglądał jak raper preferujący utwory w stylu gangsta, ale – odkąd Jim przeczytał na głos fragmenty z *Nikt nie zna mego imienia* – jego prawdziwym bohaterem stał się James Baldwin i pragnął pisać tak jak on.

Następny był David Pyonghwa, nieśmiały Koreańczyk, który całkiem nieźle mówił po angielsku, ale nigdy nie udawało mu się do końca pojąć tego, co czytał. Jim zapoznał go z koreańskimi *sijo* – trzyzwrotkowymi wierszami, bardziej szkicami niż kompletną poezją, a wtedy do Davida dotarło nagle to, czego go uczono.

Od pierwszego dnia ich nauki w drugiej klasie specjalnej Jim pokazywał swoim uczniom, że czytanie i pisanie ma dla nich znaczenie. Czytanie i pisanie stanowiły drogę do zrozumienia duszy drugiego człowieka, sposób wyrażenia głębi ich serca. Pod koniec pierwszego tygodnia Neville przeczytał *Wolności nie można nikomu podarować – wolność to coś, co ludzie zdobywają, ludzie są na tyle wolni, na ile tego pragną*. Przeczytał to z przerwami, lecz wymowa tych słów wstrząsnęła całą klasą. Były prawdziwe. Miały potężne znaczenie. Nie zostały zaczerpnięte z dzieł zebranych Szekspira – pochodziły wprost z ulicy.

Na ile jednak prawdziwa była kotka niegdyś nosząca imię Tibbles? I na ile prawdziwa była możliwość powrotu Martina, Johna Trzy Imiona i Susan ze świata umarłych?

Kiedy uczniowie wybiegli z klasy w stronę stołówki, Rafael Diaz podszedł do biurka Jima. Spojrzał na jego notatnik i na nagryzmołony w nim rysunek. Trzy sylwetki, stojące ramię w ramię w kłębach wirującego dymu.

– Czyli nie poprawia pan prac, proszę pana? – odezwał się Rafael.

Mówił bardzo cicho, dzięki czemu jego słowa wydały się mniej bezczelne, niż w rzeczywistości były.

– Nie. Ja... hm... – zaczął Jim, lecz nie znalazł żadnego powodu, dla którego miałby się przed nim tłumaczyć.

Rafael podniósł notatnik i osłaniając dłonią oczy, uważnie przyjrzał się szkicowi.

– Czy to coś, czego pan się boi?

– To tylko rysunek, nic więcej.

– Wygląda przerażająco. Takie rzeczy widuje się w koszmarnych snach.

Jim odebrał mu notatnik, wydarł z niego kartkę i zmiął starannie.

– Powiedziałem już: to tylko rysunek.

– Jasne.

Do Rafaela podeszła Sandra Pearman.

– Chodź – rzuciła. – Obiecałeś.

Chłopak uniósł rękę, dając jej znak, by jeszcze chwilę poczekała.

– Może pan się pozbyć swoich strachów, proszę pana. Do tego trzeba jedynie wiary.

– Cóż, dziękuję ci, Rafael. Ale myślę sobie, że wolę już żyć z moimi strachami, pięknie dziękuję. Co byłoby warte życie bez odrobiny strachu co jakiś czas?

Rafael obdarował go mrocznym spojrzeniem o niezupełnie jasnym przesłaniu. Niemal przypominało ostrzeżenie. Lecz zaraz potem wziął Sandrę za ramię i oboje wyszli z klasy.

Jim kantem dłoni wygładził zgnieciony rysunek. „Takie rzeczy widuje się w koszmarnych snach”.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).